Przyjaciel Ludu.

Leszno **No. 49.** dnia 10. Czerwca 1835.



Widok Poznania z placu Sapieżyńskiego.

Czem był Poznań przed 100 lat?

Porównanie obecnego stanu z dolą przodków, może nam posłużyć za ważną naukę, czyli, i jak dalece postąpiliśmy na drodze udoskonalenia naszego; albowiem dopięcie zupełnéj doskonałości, równie jak osiągnienie zupełnego szczęścia, nie będąc udziałem śmiertelnika, podobno na zawsze życzeniem tylko pozostanie. Prawda, że starzy ludzie za przeszłością tęskne zwracając myśli, w niéj jedynie o złotym wieku marzą: wtedy to, mówią oni, dobre były czasy, wtedy prawdziwe panowało szczęście, wtedy i trawa była zieleńszą. Na to możnaby odpowiedzieć z poetą: mój staruszku! nie trawa, ale wiek twój był zieleńszym. — Skarga ta od kilku tysięcy lat już powtarzana, nie dowodzi, żeby dawniejsze czasy były lepsze, tylko tego, że ci, którzy je chwalą, niegdyś byli młodymi. Mnie się zdaje, biorąc ogół ludzi, nie pojedyńcze klassy na uwagę, iż owszem **teraz** lepsze są czasy, gdzie każdemu w szczególności wolno jest myśléć o polepszeniu swéj doli, i udoskonaleniu samego siebie, gdzie (dzięki olbrzymim postępom oświaty w nowszych czasach) nie zbywa nam na stósownych do tego celu środkach. Do znacznych postępów w cywilizacyi, liczę także dźwignienie przemysłu i wzrost miast: ażebyśmy się zaś naoczniéj o tem przekonali, niechaj służy krótka wiadomość o Poznaniu, jakim był przed 100 lat.

Poznań na lewym brzegu Warty, miasto nie bardzo wielkie, lecz dość piękne, handlem zamożne, liczy teraz do 30000 ludności. Pierwiastkowa osada Poznania, miała być na prawym brzegu Warty, gdzie Chwaliszewo i Sródka; ale z tych czasów żadnego już nie masz zabytku: albowiem kościół Śgo Mikołaja, stojący za mostem przed Tumem, po prawéj stronie, najdawniejszy w Poznaniu, rozebrany został roku 1817. Tum zaś wielokrotnie pożarami zburzony, nowszych wieków jest dziełem. Nazwisko **Poznań** wywodzą kronikarze ztąd, że tutaj Lech, Czech i Russ po długich z sobą zatargach, zeszli się i **poznali**, a na tem miejscu małą rybaków wioskę Pragona, Strzezona, zamienili na miasto, i Poznaniem nazwali. Do dziś dnia jeszcze pamiątkę tego zdarzenia zachowuje ratusz Poznański, gdzie na gzymsie małéj wieżyczki po lewéj stronie frontu, widać kształt trzech głów pod jednym kapeluszem. Jakożkolwiek bądź, to jednak pewna, bo to poświadcza Gallus, żyjący za Bolesława Śmiałego, iż za jego czasów już Poznań należał do najznaczniejszych miast w Polsce, o czem nas także i późniejsi kronikarze przekonywają, czyniąc różne o Poznaniu wzmianki, jako o dawno już istniejącém mieście. Tu synowie Krzywoustego, trzymani od najstarszego brata w oblężeniu (co dowodzi, że miasto było obronne) wielką zadali mu klęskę, i przymusili do haniebnéj ucieczki. Lecz do wzniesienia Poznania, nadaniem mu różnych przywilejów i wybudowaniem zamku, przyłożył się najwięcéj **Przemysław**, (w roku 1295) król polski. Tu także żona jego uduszona. Zamek ten, teraz gmach sądowy (zob. rycinę po prawéj stronie na wzgórku) zapewnie był dawniéj obronnym: dziś jednak nie nosi cechy dalekiéj starożytności.

Jan Lubrański, biskup, mąż po wszystkie wieki sławny, założył w Poznaniu Gimnazyum, i Professorami z Akademii Krakowskiéj osadził.

Lecz nie zapuszczając się w dzieje tego miasta, czas przystąpić do samego zadania: a najprzód trzeba nam wiedzieć, że dawniejszy Poznań do teraźniejszego w takim jest stósunku, jak stary dworek do porządnéj kamienicy. Miasto całe murami i fossą opasane, zacząwszy od Wronieckiéj bramy ku fronfestowi, jak to dziś jeszcze widzieć można: daléj od zamku ku rotundzie do Wrocławskiéj bramy; odtąd znowu do kościoła Jezuitów ponad Psałteryą do Wodnéj ulicy, jak uliczka z nowego rynku prowadzi, i w téj linii aż do Dominikanów. Taki był dawniéj obwód Poznania, wyjąwszy rozległe przedmieścia Chwaliszewo, Srodkę, Zawady po prawéj stronie Warty; Rybaki zaś, Śty Marcin, i Śty Wojciech po lewéj stronie.

Główne bramy: wrocławska podwójna, pierwsza ciemna, gdzie teraz apteka, druga daléj trochę, obie mocno obwarowane, wroniecka i most chwaliszewski zwodzony; z resztą małe fortki dla pieszych. W miejscu Wilhelmowskiéj ulicy, biblioteki Raczyńskich, teatru etc. były ogrody, a gdzie Podgórna ulica, był cmentarz. Na rybakach nędzne chatki, corok wodą zabierane, na grobli kilka domków. Stary rynek ze śledziowemi budkami, tym zabytkiem odległéj starożytności, dawniéj posępniejszy przedstawiał widok. Wszystkie bramy i domy na każdą noc zamykano, most zwodzono; bo każdy bał się hultajstwa, tułającego się po mieście, które w późnéj nocy i ciemnych ulicach obdzierało przechodzących; dla tego też rzadko kto wychodził w nocy na miasto, chyba w razie koniecznéj potrzeby.

Lubo Poznań od najdawniejszych czasów do najważniejszych miast handlowych w Polsce należał, jednak przemysł wtedy nie bardzo kwitnął. *) Handel powiększéj części zostawał w ręku cudzoziemców, nawet Anglików: krajowcy zaś niższemi tylko trudnili się rzemiosłami. Żaden piwowar nie miał koni: woły rozwoziły po mieście wolnym ale pewnym krokiem smaczne, a oraz tanie piwo. Za pięć szelągów mógł upragniony rzemieślnik wypić półgarca piwa. Dopiero gdy cugowe konie zaczęły odbywać tę usługę, gdy się do nich i paradne powozy znalazły, a tym czasem i zboże także w górę poszło; zdrożało piwo.

Obyczaje mieszkańców, ich ubiór i potrzeby znacznie się od teraźniejszych różniły. Pani Dorota, kamieniczna pani, z dwiema sługami, przy ogniu na kominie zapalonym, lub przy słabem światełku łojowéj świeczki, prządła na wyścigi kądziel, wśród wesołych i poufałych żartów, lub okropnych powieści o duchach i czarownicach. Zebraną przędzę posełała tkaczom do Swarzędza, a wyrobione z niéj płótno, bieliła sama w własnym ogrodzie. Służącym nie wolno było stroić się i przesadzać nad swe panie: zakazano im chodzić w bławatach, tylko w płocienku lub kamlocie, z którego nosiły kaftaniki krótkie, na głowie zaś czapeczki białe, lub czołka czarne aksamitne; biała chusteczka płocienna na szyi, a rękawki zawsze zawinięte, okazujące gotowość do pracy. Mieszczanie ubierali się w dzień powszedni w czamarki sukienne, z pętlicami: w święto zaś w żupany, na których nie wolno było nieszlachcie nosić pasów: również karabela oznaką była szlacheckiego stanu.

Na Ś'y Jan zjeżdżała się szlachta na kontrakty, i bawiła najmniéj cztery tygodnie: podobnież na karnawał. Kiedy więc pan przyjechał do miasta poszóstną karetą, z forysiem na przedzie, z laufrem i hajdukami; bryczki, wozy kuchenne, tworzyły długą i huczną kalwakatę. Skoro stanął na miejscu, czy to w swéj własnéj kamienicy (szlachta posiadała w rynku najpiękniejsze domy) czy w zajezdnym domu (bo się oberzami wtedy jeszcze nie nazywały) wrzawa dworskiéj gawiedzi, zagłuszała zwykle całe sąsiedztwo. — Na tem kończymy dziś ten urywkowy dawniejszych czasów obraz; może wkrótce będziemy w stanie Czytelnikom naszym dać dokładniejszą kronikę miasta Poznania.

Spad Niagary.

Północna Ameryka ma pod dostatkiem jeziór tak ogromnych, że je raczéj morzami wód słonych wewnątrz lądu nazwać można. Wiatr wznieca burze i pędzi bałwany tak potężne, jak na morzu śródziemnem, a głębokość tych wód, jak zapewniają żeglarze, jest niezgruntowaną. Te jeziora mają okręty wojenne: Anglia i Stany zjednoczone utrzymują na nich znaczną marynarkę.

Rzeka Niagara wpadająca do owéj największéj na świecie rzeki Śgo Wawrzeńca, wypływa z jeziora Erieskiego. Pęd jéj gwałtowny, częstokroć wstrzymywany skałami, o które z wściekłością rozbijają się jéj bałwany: poniżéj zaś coraz szerzéj się rozlewa, i spokojna na pozór, płynie z zadziwiającą bystrością, nakoniec wylewa się w jezioro Ontario, równie ogromne jak pierwsze, z którego rzeka Śgo Wawrzeńca, wpadająca w Ocean Atlantycki, jest tylko właściwie wszystkich tych jeziór ostatnim spływem. Lecz pierwsze jezioro prawie 200 stóp wyżéj leży od ostatniego: ztąd spad Niagary.

Pół mili przed tą okropną kataraktą, największą w świecie, leży nad brzegiem rzeki, zamek obronny Chipewaj: tutaj kończy się żegluga; biada temu, kto się daléj płynąć poważy, albowiem pędem wody uniesiony, pewno rozbity o skałę, na zawsze się w głębokich nurtach pogrąży; a jeżeli zdoła się oprzeć gwałtowności potoku, niechybnie pochłoną go bałwany wodospadu.

W miarę zbliżania się rzeki do wodospadu, pęd jéj coraz jest gwałtowniejszym: jéj wściekłe

---

*) Różne pisarze krajowi zubożenia miasta i upadku handlu wymieniają przyczyny. Ciągłe niezgody i zaburzenia wewnętrzne, wojny zewnętrzne (Szwedzi roku 1656 po zdobyciu miasta, spalili wiele kościołów i duchowieństwo wypędzili) częste pożary, powietrze, które w różnych czasach wielkie zrządzało klęski; nakoniec w roku 1736 powódź i wylanie rzeko Warty niesłychane sprawiło spustoszenie. Od 7go do 9go Lipca przybierała woda co chwila, wszystkie ulice zalała: rynek przedstawiał widok wielkiego jeziora. Dotychczas w rynku jest znak na kamienicy Pana G. . . . jak wysoko wtedy woda stała. Wspomniona kamienica, przedtem do Angielskiego kupca należąca, inną jeszcze historyczną ma osobliwość, to jest daszek, któremu teraźniejszy właściciel winien swój przydomek. Karól XII. posiadłszy roku 1703 mocą oręża Poznań, w tym domu na pierwszem piętrze ze sztabem swoim jadł śniadanie. Rozmarzony zapewne winem, jak był prędki i fantastyczny, usiadł w oknie, i niebacznie drugą nogę zewnątrz muru przerzuciwszy, nagle stracił równowagę i wypadł z okna. Byłby niechybnie spadł na bruk z wysokiego piętra, gdyby nie daszek wystający, nad wchodem do tejże kamienicy, na którym się zatrzymał, aż spieszna przybyła pomoc. A tak gdyby nie ten daszek, ileżto ważnych wypadków w Europie nie byłoby się wydarzyło, lub inny wzięło obrot!



Spad Niagary.

bałwany roztrącają się z hukiem o skały, wstrzymujące jéj bieg; aż nakoniec nic już oprzeć się nie zdoła, i cała massa wody spada z wysokości 164 stóp z straszliwym hukiem, tak, że ziemia drzy pod nogami, a o kilka mil słychać łoskot okropny.

Jednakże cała massa wody nie spada razem, lecz wyspami i skałami rozdzielona, formuje trzy wodospady. Największy z nich, od figury swéj, podkową zwany, łubo trochę niższy od innych ściąga szczególniéj na siebie uwagę. Ze skały na prawo położonéj, jest przepyszny widok na brzegi, gęstym lasem zarosłe, i na pieniące się bałwany i na sam wodospad podkowy. *) Z téj otchłani wznosi się bezustanku biały tuman, który o 6 mil odległości na horyzoncie spostrzegać się daje, i również tak daleko słychać grzmot wodospadu: w bliskości huk jest tak straszliwy, że ludzi zagłusza: słaby człowiek nie jest w stanie znieść tego ogromu natury, i upojony niejako jéj wspaniałością upada osłabiony na ziemię. Posłuchajmy powieści pewnego podróżnika: „Blisko tego miejsca spostrzegłem Amerykanina ponad borem idącego spiesznie, białą odzianego płachtą, przepasanego skórzanym pasem, u którego wisiały narzędzia strzeleckie; włosy długie spadały mu z ramion, a na głowie miał czapkę z głowy niedzwiedzia, po bokach wystawały uszy. I wkrótce zniknął nam w krzewinie: pobiegłem za nim w las, i widziałem, jak kładł łuk i strzały w małe czołno u brzegu uwiązane: potem wszedłszy i usiadłszy w tyle, silną ręką robiąc wiosłem przez rzekę płynął: Czołno to było tak małe, że w niém stojąc, utrzymać się nie mógł. Widział on wyraźnie tuman wznoszący się w powietrzu i huk straszliwy wodospadu. Był może o pół mili od prądów, i już do brzegu zmierzał, aby uniknąć niebezpieczeństwa, gdy ujrzał w powietrzu orła. Amerykanin zapomina o niebezpieczeństwie, kładzie się w znak w czołnie, bierze łuk i strzałę, czekając, aż się ptak na strzał zbliży. Podczas gdy ów nieustraszony myśliwiec leżał nieporu-

*) Listy ostatnie z New York donoszą, że ta skała, (zob. ryć.) wielkim stołem zwana, podmielona wodą, zapadła się niedawno.

szony, i płynął z wodą, orzeł krążący coraz niżéj się spuszczał. Z brzegu, czołno zdawało się być wiązką trzciny, albo zwierzęciem, które utonęło. Wtem Indyanin wypuszcza strzałę, wydaje okrzyk radości: ptak ugodzony spada z wysokości; lecz żyje jeszcze, i dobywając ostatnich sił, na środek rzeki ulatuje. Tak więc strzelec na próżno strzałę wypuścił, i stracił zdobycz! a więc i błyszące pióra stracone, w które się chciał ustroić w najbliższą uroczystość swego pokolenia. Wściekłością zapalony, żegluje za swą zdobyczą: namiętność odjęła mu pamięć: nie wie, że tuż prąd straszliwy, przepaść bezdenna już swą paszczę otwiera. Lecz wkrótce odzyskał przytomność, postrzegł swą nieroztropność: naprózno usiłował zbliżyć się do któréj z wysp, i uchwycić gałązki konwulsyjną ręką: już było zapóźno, już go nic od zguby ratować nie mogło. Natenczas przypomniał sobie, że jest Indyaninem, i że z odwagą umrzeć trzeba. Sięgnął więc po baryłkę, wiszącą u pasa, wychylił ją na jeden raz, założył ręce na krzyż, i spokojnie patrzał w tę przepaść, która go miała pochłonąć. Lotem błyskawicy pędziło czołno od skały do skały; widziałem go jeszcze pod tęczą, którą pokryło go słońce, odbijające swe promienie w pieniących się rzeki bałwanach. — Indyanin wyciągnął ręce, jakgdyby się chciał z tym światem pożegnać, i w mgnieniu oka zniknął strzelec z łódką.“

Mieszkańcy Kanady.

Kanada w północnéj Ameryce odkryta przez Portugalczyków roku 1500, należy od roku 1763 do W. Brytanii, i dzieli się na wyższą i niższą, a każda ma swego gubernatora. Kraj ten mający 25000 mil kwadratowych, leży pod jedną strefą z Francyą; lecz dla wielu obszernych jezior, na których małe flotty pływają, dla niezmiernych lasów i pustyń, klima tego kraju daleko jest ostrzejsze: najłagodniejsze powietrze jest między rzekami Ohio i Missisipi. W pierwszéj połowie Listopada, w Kanadzie szczególniejsza nastaje pogoda, od krajowców jadyańskiem latem nazywana: wtedy Atmosfera, choćby słońce najjaśniéj świeciło, jest tak mglista i niejako zadymiona, że dalekich przedmiotów wcale nie widać, a około słońca formuje się koło. Wtedy zwykle bywa pora łagodna, wiatr ustaje. Upowszechnione jest między Indyanami zapewne błędne mniemanie, że ta mgła niezwyczajna pochodzi z dymów trawy, którą Indyanie w jesieni zapalają.



Mieszkańcy Kanady.

Ludność tego kraju wynosi pół milliona mieszkańców, w części pierwotnych Indyan, którzy od nowych kolonistów, przybyszów z Europy, w głębokie puszcze wypędzeni zostali; należą oni do różnych pokoleń: Algonkinów, Irokezów i Huronów, różniących się między sobą tylko językiem. Mężczyzni są wyższego wzrostu, wysmuklejsi, mocniejsi od kobiet; lecz i pomiędzy temi, czasem piękność znaleść można: ztąd nieraz wydarzają się przypadki, że francuzcy i angielscy koloniści, pojmują sobie Indyanki za żony. Ich strój jest niepozorny, bez gustu: znać jednak, iż coraz więcéj ozdób od Europejczyków przejmują. Mieszkają w nędznych chatach, zwanych Wigwams, a raczéj budach, korą drzew i skórami zwierząt pokrytych i obsłonionych: a w zimie śniegiem i lodem przysypanych, i dlatego łatwo dających się przenosić z miejsca na miejsce. Niekiedy widać 3 i 4 takie chaty razem zbudowane, a w środku jedno tylko ognisko. Wiosek nie mają Indyanie Kanadyjscy, ponieważ z polowania i rybołowstwa

tylko żyją: lecz w bliskości Europejczyków widać tu i owdzie po kilkanaście takich chat razem, naokoło palisadami obwarowanych. W swych kniejach zupełnéj używają swobody, nie przyjmując od nikogo rozkazów, tylko od swych starszych i naczelników pokoleń. Koloniści dają im rocznie podarunki, dla utrzymania z nimi pokoju. Zgromadzają się niekiedy na ważne obrady, a w czasie wojny dla wybrania wodza. Jest to lud bitny i na wszelkie trudy wytrzymały: lecz nadewszystko przenoszą życie w lasach i pustyniach, rólnictwem gardzą, mając je za podłe zatrudnienie, które kobietom poruczają. Te żyją w najsroższéj u nich niewoli, i najcięższe odbywać muszą prace: żona jest tam niewolnicą, nie panią ani towarzyszką. Meżczyzni żyją w ustawicznych pomiędzy sobą zatargach i krwawych bojach, tak dalece, że niektóre pokolenia zupełnie się nawzajem do szczętu wytępiły. Bystrość ich zmysłów jest nadzwyczajna, do czego jest im pomocny ich prosty i naturalny sposób życia, ich trudy znoszone w podróżach i na łowach, a szczególniéj ich naturalne usposobienie i wychowanie. — Dzieci, które, jak powszechnie utrzymują, mają ciało białe, i dopiero przez nacieranie tłuszczem, zmieszanem z pewnemi sokami roślinnemi, brunatnéj nabywają cery, zaraz po urodzeniu zanurzane bywają w zimnéj wodzie, potem obwinięte w skórę zwierzęcą, kładą na łożu mchem wysłanem. Czasem wiążą je u drzewa i tak kołyszą jak u nas w kołysce. Wcześnie ojciec wprawia swego syna do robienia bronią i do znoszenia wszelkich trudów i boleści; opowiadaniem zaś czynów przodków swoich, zapalają ich odwagę. Bronią ich są: łuki, strzały, niekiedy noże, a teraz mają już i broń palną: Czołna ich (kanot) z kory drzew lub skór zwierzęcych, zaledwo 8 — 10 osób objąć mogą. Indyanie ci, mówi jeden podróżny, nie są wcale od natury upośledzeni na rozumie, lubo na pierwszy rzut oka, nie pokazują bystrości. Z białymi bardzo są ostrożni, i nie wdają się z nimi w rozmowę, gdy nie są zaczepieni. Nie okazują nigdy prawie żywszego uczucia, gdyż to za słabość poczytują. Większą część życia przepędzają na próżnowaniu, siedząc na ziemi z założonemi na krzyż nogami, z lulką w gębie, zanurzeni w słodkiem marzeniu o niebieskich migdałach. Nadto posiadają oni pewne tajemnice, robienia lekarstw, trucizny, różne sposoby na łapanie dzikich zwierząt, ale ich Europejczykom nie wyjawiają.

Liczba Indyan co dzień się zmniejsza, od czasu, jak weszli w związki z ucywilizowanymi białymi ludźmi, a to z dwóch następujących przyczyn: najprzód Indyanie lubią bardzo wódkę, któréj dostarczają im biali pod dostatkiem za futra. Wszystkie dzikie ludy lubią gorące trunki i umieją je z różnych rzeczy pędzić, jak np. Kałmuki palą wódkę z końskiego mleka. Od czasu, jak dzicy poznali gorzałkę, stracili bardzo wiele na swéj prostocie: Indyanie którzy wodkę piją są niecierpliwi, leniwi, kapryśni, kłótliwi: z chciwością połyka Amerykanin gorący napój, a upiwszy się, siekierą swoją macha na wszystkie strony, nie zważając na nikogo: już wtedy ani dzieci ani żona dzikości jego uśmierzyć nie potrafią: rozpoczyna boje z sąsiadami, rzuca się, miota jak dzikie zwierzę, napastując każdego, morduje, aż nakoniec uległszy przemocy, zabijany bywa. Najwięcéj zatargów i wojen pomiędzy pokoleniami z przyczyny wódki powstaje, w których tysiące giną. Co zaś wódka ochroniła, to ospa wyplenia, owa okropna choroba, z taką wściekłością srożąca się teraz pomiędzy dzikimi: tak dalece, że całe narody, nie dawno liczne i potężne, już teraz zniknęły. Jednak Indyanie zaczynają uznawać szczepienie ospy za dobrodziejstwo, i zwolna przywykają do tego środka, którym się dawniéj brzydzili.

Klasztór Dominikański w Pozn[...]

(Koniec)

„Nie dosyć jeszcze na tem. Klęskę tak straszną dla zgromadzenia, powiększył dnia 17go Kwietnia, po pierwszéj godzinie północnéj, upadek facyaty nad wielkim ółtarzem, która zwaliwszy się na sklepienie, 30 łokci tegoż zepsuła, i wielki ółtarz, wystawiony roku 1760 staraniem X. Piotra Roga, tegoż klasztoru przeora, kosztujący 30000 złotych, na drobne części pogruchotała. Tegoż samego losu doznała brama, czyli kalwarya, (od któréj się zaczynały formy, czyli stalla, ciągnące się aż do wielkiego ółtarza) wspaniale wybudowana, z kolumnami, mnóstwem rzeźby, przyozdobiona pięknem malowidłem i wyzłoceniem. Nad jéj wierzchołkiem był Pan Jezus ukrzyżowany, wielkości łokci czterech; obok niego, po jednéj stronie Bolesna matka Boska, po drugiéj Święty Jan Ewangelista. Strzaskane zostały także formy z drzewa dębowego, w których wyborna rzeźba, kosztowny zabytek odległych wieków, wystawiała po jednéj stronie historyą życia i cudów S. Dominika, po drugiéj historyą życia i cudów S. Jacka. Takie same formy znajdują się po dziś dzień w kościele XX. Dominikanów w Krakowie.

„Ten okropny żywioł szerzył się z taką szybkością, że w ciągu 6ciu lub 7miu godzin zburzył i zniweczył to, na co się kilka wieków składało: całą ulicę żydowską, całą ulicę szeroką, szewską, ślusarską, groblą, garbary i t. d. słowem, samych numerowanych domów 276; oprócz tylnych zabudowań, stajeń i t. p. Zagrzebał w gruzach ulic jedenaście, a kilka tysięcy mieszkańców nieszczęśliwymi uczynił. Ale Bóg najdobrotliwszy, który dopuścił to spustoszenie tak dolegliwe, zasmuciwszy swój lud, okazał łaskawość w swojéj Opatrzności. Pobudził serca pobożnych obywatelów do litości nad nędznymi pogorzelcami Poznania. Dla nich tamci okazali się hojnymi w ofiarach, które, przez kilka miesięcy składane, już w pieniędzach, już w wiktuałach wszelkiego rodzaju, urosły do kilku tysięcy talarów. Ale my z składek tych nie korzystaliśmy nic; Bóg nam nagrodził to zdarzeniem Dobrodziejów, którzy w celu utrzymania chwały Najwyższego przy takim blasku, z jakim mu była oddawana w pogorzałym kościele naszym, nieżałowali swoich majątków na wydzwignienie tego kościoła z ruin i gruzów. Tychto łaskawych Dobrodziejów czcigodne imiona umieszczone są dla uwiecznienia ich cnót, w księdze umyślnie na to sporządzonéj. Łączymy do tego najserdeczniejsze życzenia i codzienne modły nasze do Pana Niebios i Ziemi, aby ich raczył zapisać w księdze wybranych do nieśmiertelnéj szczęśliwości.“ Stratę, którą przez pożar ten XX. Dominikani ponieśli, ocenili znawcy na 300000 złotych.

W powyższym opisie mówi szanowny starzec, że Bóg opatrzył klasztor dobrodziejami, którzy go z gruzów dźwignęli. Ja twierdzę śmiało, bez obrażenia skromności czcigodnego kapłana, że dzwignienie z gruzów klasztoru i kościoła XX. Dominikanów w Poznaniu, jego jedynie jest dziełem: bez niego leżałby był dotąd w gruzach. Żyją jeszcze liczni świadkowie starań i usilności zacnego Xiędza Przeora Frasunkiewicza w przywróceniu kościoła do dawnéj pory. Cześć kapłanowi, co zrzeczeniem się samego siebie, bez kapitałów, bez funduszów, swoją bogobojnością i swojemi cnotami, które częstokroć nieużyte serce do datku niewoliły, podźwignął z gruzów jednę z najpiękniejszych świątyń miasta Poznania! J. Ł.

Historya okropna o walecznym Stasiu i o pięknéj Anulce.

Był właśnie piękny poranek majowy: słowiki od kilku dopiero dni śpiewać zaczęły: dziś jednak ucichły zupełnie, albowiem zdala pomruk ponury nadchodzącą zapowiadał burzę. Już stróż nocny jedenastą pogłaszał, gdy powracając do domu, spostrzegłem przede drzwiami okazałego domu gromadę rozmaitéj gawiedzi, powracającéj z wesołych tańców: widać było, że się ciekawie przypatrywali jakiemuś przedmiotowi.

Stara kobieta, w wiejskiéj odzieży, siedziała na wschodach: a lubo wszyscy chcieli koniecznie wybadać nieznajomą, coby ją tak późno do miasta sprowadziło, zkąd jest, i czego żąda? staruszka nie odpowiadała na nic, i ciekawość ich obojętnością zbywała. Było w całéj jéj postawie coś nadzwyczajnego, wielkiego: zdawało się, że sama tylko znała cel podróży, a jakby w swym domowym kąciku rozgościwszy się wśród ciekawego tłumu, do spoczynku pod gołem niebem zabierała się. Odziała się fartuchem, słomiany kapelusz na twarz wcisnęła, a podłożywszy swój tłomoczek pod głowę, na nic nie odpowiadała.

„Cóż się to stało téj staréj kobiecinie? odezwał się ktoś z przytomnych: różne na to pytanie dały się słyszeć odpowiedzi: „ona już sześć mil drogi dzisiaj uszła: ztrudzona, daléj iść nie może: zabłądziła biedaczka w mieście: ma krewnych na przedmieściu, ale do nich trafić nie może. — Jabym ją zaprowadził, odezwał się drugi, ale trochę za daleko, a co gorsza zapomniałem klucza od kamienicy. Możeby sama nie poznała domu, do którego iść chce. — A wszak tutaj ta kobieta zostać nie może, rzekł jeden z nadchodzących! — Ona gwałtem tu chce nocować, odpowiedział pierwszy, nie chce się ruszyć z miejsca: jużem jéj kilka razy powiedział: kobiecino zaprowadzę cię do domu; ona zaś gada, jak obłąkana: pewnie się upiła. — Mnie się zdaje, że jest bez rozumu, powtórzył tamten: tutaj jednak na żaden przypadek zostać nie może: noc jest chłodna i dosyć długa. Podczas téj całéj rozmowy staruszka, jak gdyby nic nie słyszała i niewidziała, spoczywała sobie spokojnie; lecz gdy ostatni raz jeszcze powtórzył: „przecież tutaj zostać nie może, odpowiedziała z powagą smutnym i ponurym głosem:

A czemużbym tutaj nie miała zostać? wszak to dom xiążęcia, który zapewne nie odpędzi od swego progu ośmdziesięcioletniéj staruszki: miałam trzech synów; wszyscy już w grobie, w obronie kraju polegli; a wnuk mój ostatni także się zemną pożegnał. Bóg się zapewne nad nim zmiłuje; ja zaś nie zamknę pierwéj oczu, aż on będzie uczciwie pochowany na świętem miejscu. „Osiemdziesiąt lat! a sześć mil uszła! rzekli otaczający: ztrudzona nieboga gada, jak małe dziecko: w tym wieku już nie sporo!“

Matko! możecie kataru dostać i zachorować, nudno wam tu będzie, rzekł jeden, rzemieślniczek nachylając się ku niéj. — Wtedy na pół proszącym, na pół rozkazującym głosem odezwała się znowu ponuro: „Nie przeszkadzajcież mi, a miejsce rozum: co mnie katar? co mi nudy? wszak już późno: ośmdziesiąt lat skończyłam: wkrótce nadejdzie poranek: pójdę tam do moich. Kto Boga kocha, i modlić się może, ten potrafi jeszcze przepędzić te kilka godzin.

Gromada ciekawych zaczęła się rozchodzić: i ci, którzy jeszcze byli zostali, odeszli także; już bowiem było późno, a każdy do domu się śpieszył.



Objaśnienie obrazka. Na pierwszy rzut oka każdy z Czytelników łatwo odgadnie, jaką scenę powyższy przedstawia obrazek. Najgłówniejszą osobą, w którą wszystkie inne wpatrują się, i nią tylko zajęte być się zdają, jest dziewica w śmiertelnem odzieniu z wieńcem na głowie i książką na piersiach: przy niéj staruszka z złożonemi jak gdyby do modlitwy rękami. Inne osoby, jako to xiądz modlący się, matki z dziećmi, a szczególniéj obok stojąca szubienica i koła z wiszącemi jeszcze szczątkami straconych winowajców, widocznie nam pokazują, że to jest plac śmierci, gdzie zbrodnia zasłużoną karę odbiera. Lecz w jakim związku ta okropna scena z naszą zostaje historyą, dowie się łaskawy czytelnik z saméjże powieści.

Sam tylko pozostałem: wszędzie głęboka panowała cisza: przechadzałem się w zamyśleniu po ulicy. Ostatnie słowa staruszki, jéj odpowiedzi tak pewne i znaczące, wiek zgrzybiały, a nadewszystko jéj spokojność sumienia, uderzyły mnie mocno i do myślenia pobudzały. Czemże są wszystkie namiętności i żądze nasze? Gwiazdy wiecznie odbywają swe drogi: pocóż gonię naprózno za tak marnem szczęściem? Czyli to, za czem się teraz ubiegam, postawi mnie w stanie, abym mógł tak spokojnie, jak ta poczciwa staruszka na progu zasnąć, czekając poranku? a potem czyliż jak ona znajdę przyjaciela? Ach Boże! ja podobno wcale nie zdążę do miasta; zabłąkam się w bezdroża, albo może w ręce rozbojników wpadnę. Tak rozmawiałem sam z sobą; a gdym około staruszki przechodził, słyszałem ją dość głośno modlącą się i nachyloną ku ziemi. Wzruszony tym widokiem, zbliżyłem się do niéj, mówiąc: Panie Boże dopomóż! pobożna staruszko, módlcie się i za mnie! i wrzuciłem jéj we fartuch talara.

Staruszka rzekła: dziękuję ci, o Panie, żeś wysłuchał prośby. Rozumiałem, że do mnie mówi, rzekłem więc: staruszko! nie słyszałem, żebyś mnie o co prosiła.

A ona, jak gdyby budząc się ze snu odpowiedziała: Mój paniczku, idź do domu, zmów pacierz, i połóż się spać. Pocóż tak późno tułasz się po ulicy: to na młodzika wcale nie przystoi; bo zły duch także nie śpi, i na swą zdobycz czatuje. Nie jeden już zepsuł się nocnem tułaniem. Czego szukasz? Boga? ten jest w sercu człowieka, jeżeli poczciwie żyje, a nie buja po nocy. A jeżeli szukasz złego, już je masz; idź więc do domu, módl się, abyś go się pozbył. Dobra noc!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do Łaskawych Czytelników Przyjaciela Ludu.

Przy schyłku pierwszego roku istnienia Przyjaciela Ludu, czuje się Wydawca powodowanym do powtórnego wynurzenia swéj wdzięczności, wszystkim tym czcigodnym i gorliwym mężom, którzy go pracami swemi zasilali, jako też Szanownym Prenumeratorom i całéj Publiczności przykładającéj się tak skutecznie do utrzymania jedynego w naszéj prowincyi, rozszerzeniu oświaty pomiędzy ludem poświęconego pisma. Przyjaciel ludu wychodzić będzie i w następującym roku; dla tego uprasza Wydawca, aby Szanowni Prenumeratorowie wcześnie do Księgarń lub Król. cztamtów, przez które jak najregularniéj co tydzień wychodzące Numera odbiorą, zgłosić się chcieli.

Wszystkie Księgarnie i Król. Pocztamty przyjmują prenumeratę na następujące półrocze od 1go Lipca do Nowego roku wynoszącą 1 Talar. 7½ sgr. czyli 7½ Złtp.

Leszno, dnia 3. Czerwca 1835.

Ernest Günter,
Księgarz i Typograf.

Nakładem i drukiem Ernesta Güntera w Lesznie. (Red. Ciechański.)